Rok IV. Katowice, dnia 10 października 1931 r. Nr. 14.

Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Szafranka „Domek Harcerski“

NA TROPIE

Konto w P. K. O. Katowice Nr. 305.330.

Cena 30 groszy.

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Wychodzi 10-go i 25-go każdego miesiąca.

„Dobrego wiatru“.

Wakacje się skończyły. Okres beztroskiej wędrówki po licznych polskich wodach i morzu dobiegł do końca.

Spora gromadka harcerzy-żeglarzy staje do codziennej pracy. Wielu powróci na ławy szkolne, inni zajmą stanowiska przy swych warsztatach pracy zawodowej.

Ogorzali od słońca i wiatrów, stale w ruchu, przyzwyczajeni do czynu i natychmiastowego wykonywania poleceń, stali się ludźmi, którzy tęsknią do pracy.

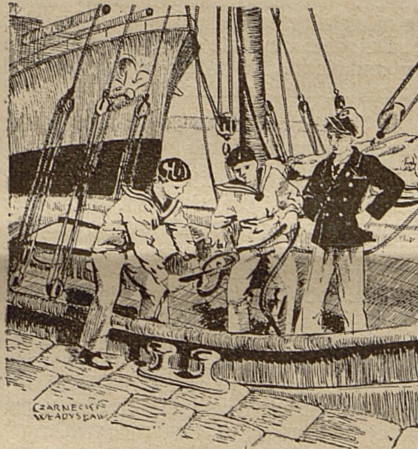
W czasie wędrówek wodnych po rzekach, zwiedzając prastare zabytki historyczne, miasta, wsie i osady, przepływając przez mniejsze i większe zbiorowiska wód — poznali, że przedmioty szkolne, jak historja, geografja itp. są stale na szlaku potrzebne i trzeba je dostatecznie poznać.

Ci, którzy choć krótko pływali po morzu wiedzą, jakie ogromne usługi oddawała im znajomość fizyki, chemji i matematyki. Nie znając geometrji trudno pomyśleć o wykreśleniu kursu, jak również nie mając pojęcia o algebrze nie wykona się obliczeń nawigacyjnych.

Program pracy osobistej jest więc wytknięty dokładnie: do nauki szkolnej brać się natychmiast, bez ociągania się i odkładania na później. Postępować trzeba tak, jak podczas pracy przy refowaniu żagli, gdy zbliża się sztorm, z tą tylko różnicą, że sztormem tym obecnie jest życie.

Chwile wolne od nauki spędzać mądrze. Nie marnować czasu na zbiórkach „ględzeniem“, omawianiem fantastycznych projektów i zamierzeń. Raczej mniej projektować i wykonywać zupełnie zwykłe prace, niż ułożyć piękny plan, który nie będzie wprowadzony w czyn.

Teorji na zbiórkach podawać niewiele, ale za to tak, by na długo pozostała w głowach, zdobywać dużo wiedzy praktycznej.



Węzły wiązać na linach, a nie na szpagacikach, z kompasem zapoznać się bezpośrednio.

Zbiórek nie przeciągać zbyt długo. Nauczyć się szanować społeczną własność, jak łódź, kajak itp. Przyzwyczaić się do porządku, układania wszystkiego na miejsce. Meldować o wykonaniu poleceń. Absolutna karność na wodzie, szybka orjentacja, spostrzegawczość, zręczność, zaradność — oto cechy, które muszą cechować żeglarza.

Wyrobić poszanowanie bandery, proporczyka i munduru harcerskiego. Nauczyć grzeczności wobec przełożonych i samych siebie. Tępić niedbalstwo, nieróbstwo, złą wolę, próżność (np. udawanie admirałów, kapitanów itp. „złote guziki“ u osób do tego nieupoważnionych). Nie zatrzymywać w drużynie, czy zastępie „typów“, które niedorosły do tego, by nosić mundur harcerski. Postępować stanowczo i zdecydowanie. Od raz wytkniętego planu nie odstępować, rozpoczętą pracę doprowadzić do końca. Oto takie hasła na początek pracy wytknąłbym dla drużyn i zastępów żeglarskich. Pomyślcie dobrze, czy nie warto tego wprowadzić do waszej pracy.

Kończę życzeniami „dobrego“ wiatru“ w codziennej pracy. **W. B.**

Zlot wodny.

Dnia 23. 9. b. r. z Głównej Kwatery Harcerzy udali się na Pomorze w celu wyszukania miejsca na zlot Drużyn Żeglarskich i zawody wodne międzynarodowe Dh.: hm. Wołkowicz i hm. Bublewski.

W Toruniu, dzięki uprzejmości kierownika Okręgowego Urzędu W. F. i P. W. Nr. VIII p. mjr. Sulika komisja otrzymała do swej dyspozycji samochód.

Po wizycie informacyjnej u p. wojewody Lamota, którego poinformowano o zamierzonym zlocie, dn. 24 września udano się samochodem na objazd terenów, w towarzystwie p. mjr. Sulika i kom. Chor. pomorskiej phm. **Sieradzkiego.**

W czasie pobytu w Toruniu dh. hm. Wołkowicz jako wizytator chorągwi Pomorskiej zwizytował 5 drużyn. Dh. Bublewski zapoznał się z pracą III Toruńskiej d-ny żeglarskiej.

Zwiedzono wszystkie ważniejsze punkty, któreby mogły być wzięte pod uwagę, jako ewentualne miejsce zlotu.

Brdy ujście — okazało się zbyt wilgotne na obozowanie i zbyt szczupłe na zawody żeglarskie.

Chojnice z odległem o 5 km jeziorem charzykowskiem byłyby nawet dobrym terenem, ale bliskość granicy wysuwa pewne objekcje.

Najbardziej odpowiedniem miejscem jest chyba jez. Garczyńskie, oddalone od Kościerzyny o 5 km. Posiada doskonały dojazd kolejowy i specjalnie do celów obozowych zbudowaną stację tuż przy obozie i jeziorze, z bocznicą i rampą do wyładowania.

Połączenie wodne jest trochę trudniejsze i chyba wyłącznie kajakami będzie można dostać się do Garczyna. W chwili obecnej przeprowadzane są badania „nawigacyjne“.

Na podstawie posiadanych materjałów „szlak“ do Wisły będzie wyglądał w sposób następujący:

Jeziorem Garczyna do jeziora Granicznego, dalej rzeką Garczyn do jeziora Ludomie, które jest połączone przesmykami z jeziorem Mielnica, dalej jeziorem Szalnowo, Rzeką Czarna Woda do jeziora Słupinko i jeź. Radolnem, które ma połączenie z jeź. Wdzydze, a ostatecznie Czarną Wodą do Wisły na wysokości Świecia. Całość spławu około 120 km.

Zwiedzane przez komisję jeziora Kartumie, oraz około Lidzbarku nie są tak korzystne jak Garczyńskie.

Z tego wynika, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Zlot odbędzie się w okolicach Kościerzyny.

W czasie pobytu w Chojnicach zwizytowano 5-tą drużynę. W Brodnicy 27. 9. bież. roku zwołana została odprawa starszyzny hufca z odczytem p. Kozikowskiego o sporcie kajakowym. Na odprawie był obecny Dh. Wołkowicz. Podczas zbiórki hufca Brodnickiego, który liczy 4 d-ny, nastąpiło objęcie hufca przez Dh. profesora Jastrzębskiego, hufiec zdawał dotychczasowy p. o. hufcowy Dh. Lendzian. **W. B.**

HELENA ZAKRZEWSKA.

Szalone Auto.

2)

Dziedzic obrzucił gromadkę, stojącą u okna, zatroskanem i roztargnionem spojrzeniem.

— Nie śpicie jeszcze? to dobrze- — mówi prędko. — Marylko, idź z matką, poproś ją, żeby się zaraz położyła. Dość dzisiaj miała zmęczenia i wrażeń. Cudem boskim uniknęliśma zderzenia z tymi szaleńcami! A potem ten nieborak na gościńcu... Heńku, chodź ze mną po bandaże. Niech tam Franek, albo który z chłopaków skoczy zaraz po wójta. A wy — zwraca się ku fornalom, którzy stoją w milczeniu dookoła tapczanu — bądźcie w pogotowiu, będziecie może potrzebni. Trzeba zaraz obmyć auto, bo całe jest zbroczone krwią tego nieszczęśnika. Zostań tu, Witek, przy nim, my zaraz wrócimy.

Ludzie wycofują się zwolna, rzucając przelęknione i pełne współczucia spojrzenia na leżącą na tapczanie postać. Witek został sam. Wtem czapka policjanta spadła na ziemię. Witek podnosi ją i pochyla się nad rannym. Zdawało mu się, że usłyszał cichy jęk. Chwyta więc garnuszek z wodą i ostrożnie zwilża skronie i wargi policjanta. Omdlałe powieki unoszą się zwolna. Błędne spojrzenie zdaje się szukać czegoś na powale.

— Jesteście tu, we dworze, a to ja, Witek! — mówi nawpół z płaczem pastuszek, unosząc delikatnie głowę rannego.

Blady uśmiech przewija się po wargach Steckiego. Usta poruszają się, wymawiają bełkotem jakieś słowa. Witek natęża słuch, patrzy mu w oczy, chciałby odgadnąć znaczenie tych niewyraźnych słów. O tak, teraz rozumie!

— Dwór... — szepce ranny — to dobrze! Witek... tyś sprytny... powtórz: umyślnie na mnie najechali... tak nagle... nie miałem czasu uskoczyć...

— Ale dlaczego? dlaczego? — pyta z płaczem chłopak.

— Cicho... to ważne... wyśledziłem kryjówkę... Widzieli mnie... Trzy topole... karczma przy jeziorze... Ale nie mów... o tem... nikomu. Kto się dowie... to śmierć... Powiedz Zosi... mojej żonie... ach!

Bolesne westchnienie szarpnęło zgruchotaną piersią. Oczy zamykają się zwolna. Kilka urywanych oddechów i potem cisza... Witek rzuca się na kolana i wciska sobie w zęby policyjną czapkę. To okropne! Taki dzielny, wyśledził ich i za to go zamordowali. To muszą być jacyś okrutni zbrodniarze. Karczma przy jeziorze, trzy topole... Nie! Witek tego nikomu nie powie, ale sam zaraz od jutra zacznie szukać tej karczmy. Dla pomszczenia Florka Steckiego! Łzy strumieniem rzucają mu się z oczu.

W sieni rozlegają się szybkie kroki. Nadbiega dziedzic z apteczką i dziewczęta z miednicą i dzbankiem wody. Wtacza się pani Bęczkowska z całem naręczem płócien i bandaży. Ale już zapóźno. Młody policjant, Florek Stecki, leży cichutko, z uśmiechem dumy na umęczonej twarzy. Dumny, bo zginął na posterunku, pełniąc sumiennie swą ciężką służbę! Dziedzic uważnie dotyka pulsu i twarzy zmarłego. A potem odzywa się cicho z głębokim smutkiem:

— Trzeba ostrożnie zawiadomić o tem żonę... biedna kobieta!

I pierwszy przyklęka obok Witka, kładąc na piersi znak krzyża. Pani Bęczkowska z płaczącemi dziewczętami podejmują chórem słowa modlitwy. Do izby wsuwają się cicho fornale. Marylka, klękając obok brata, zatapia w jego oczach długie spojrzenie. Henryk wie co to znaczy. Oboje milcząc przysięgają sobie, że nie spoczną, póki nie rozwiążą tajemnicy szalonego auta. A Witek, który, jedyny z nich wszystkich stoi u progu tej tajemnicy, z twarzą, wtuloną w czapkę Florka, modli się gorąco, aby mógł okazać się godnym tych wydarzeń, które teraz nastąpić muszą.

Za oknem szumi czarna, burzliwa, pełna ponurych cieni noc.



*

ROZDZIAŁ II.

O tem, jakiego Witek znalazł protektora, co mówią świadkowie, skąd się wzięła ręka, uzbrojona nożem i do jakich wniosków doszła Marylka.

We dworze odbywa się śledztwo. Przyjechał pan sędzia z Brasławia w towarzystwie sekretarza i pomocnika oraz naczelnik policji z całym sztabem najzdolniejszych wywiadowców. Od świtu bawi już we dworze komisja lekarska, złożona z lekarza powiatowego, felczera i urzędnika ze starostwa. Ruch na dziedzińcu jest ogromny. Co chwila zajeżdżają nowe pojazdy: powozy, bryczki i faetony. To obywatele z sąsiednich dworów, do których dotarła wieść o smutnym wypadku, zjeżdżają się tłumnie, żeby zasięgnąć języka. Wszyscy są mocno przerażeni i zaniepokojeni ponurem widmem, które stało się plagą okolicy. Niema końca opowiadaniom. Wyłaniają się coraz to nowe szczegóły, dodające grozy całej tej historji. Szczególnie zdenerwowane są kobiety. Zarówno panie ze dworów, jak baby ze wsi, nie przestają mówić o tym temacie z wypiekami na twarzy i z oczami, pełnemi lęku.

Koło bramy zebrała się gromadka dzieci w różnym wieku. Tutaj króluje niepodzielnie Henryk. Po raz setny od rana opowiada on wydarzenia ostatnich tygodni, zakończone okropnym wypadkiem. Henryk jest w swoim żywiole. Ponosi go zapał krasomówczy, okraszony wybujałą wyobraźnią. Henryk marzy o czynnem wmieszaniu się w tę tajemniczą historję i proponuje utworzenie tajnego związku Mścicieli. Oczywiście projekt ten spotyka się z burzliwem uznaniem.

Inaczej zachowuje się Marylka. Chodząc od grupy do grupy, przysłuchuje się uważnie zarówno rozmowom gości z obywatelstwa, jakoteż przyciszonym pogwarkom ludzi ze wsi, którzy ze wszystkich stron powoli ściągają do dworu. Sprawa ta wszystkich jednakowo obchodzi. Marylka zbiera z tych opowiadań fakty, które zdają się łączyć w pewną całość i usiłuje sobie wytworzyć własny pogląd na tę sprawę.

A tymczasem jedyny świadek, który miałby coś prawdziwego do powiedzenia, leży sobie na miedzy pod lasem i gryząc źdźbła trawy, pracuje myślą nad tym szczególnym trafem, który dał mu w ręke klucz do niepokojącej tajemnicy. Witek zaraz po śmierci Florka wymknął się do obory, a o wczesnym świcie poszedł, jak zwykle, z bydłem na pastwisko, nie wspomniawszy nikomu ani słówkiem o zeznaniu policjanta. Witek jest bardzo przywiązany do dworu. Nie chce ściągnąć nieszczęścia na nikogo z państwa. Woli trzymać język za zębami. Może uda mu się odnaleźć ową karczmę, o której wspominał Florek i tem samem odkryć bez szkody dla nikogo tajemnicę szalonego auta.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA.

PRZYJACIELE.

15)

— Tatusiu!!

— Ostatecznie... zobaczymy... jeżeli mama pozwoli...

— Hurra!! Tateczku najdroższy!!

Julek dusił go w uściskach, pewny już teraz zwycięstwa.

— Ano, zobaczymy co umiecie... mruczał ojciec, uwalniając głowę z objęć syna. W gruncie rzeczy rad był z zamiaru chłopców. Uważał podobny wyjazd za dobry egzamin energji, uwagi, bystrości i sam poszedł uprzedzić żonę, by nie stawiała zbytniego oporu.

Mam wszędzie znajomych, do których dam im listy, prócz tego porozumiem się ze starostwami i policją, by miano nad niemi opiekę, — tak jednak, by chłopcy się tego nie domyślili, — niech liczą sami na siebie, — uspokajał jej obawy.

* * *

— A do licha! popatrz: Lupus! wykrzyknął z desperacją Julek, gdy wysiadłszy z autobusu na stacji, zobaczyli nadbiegającego z wywalonym ozorem wilczura. Dopadł ich i pół żywy ze zmęczenia, zwalił się pod nogi Julka, dysząc radośnie.

— Lupus, łotrze jeden! kto ci pozwolił biedz za nami! Taki kawał!? Za autobusem! Czy by inny pies to zrobił?!

— Chwal go, chwal! oburknął Władek, cóż my teraz zrobimy? Musimy wracać do domu?! Oj, to nie... toby nam przyniosło pecha.

— Innego sposobu niema...

— A może... może... wzięlibyśmy go ze sobą? — zapytał Julek nieśmiało.

— To niemożliwe, — rzekł Władek, — marszcząc surowo brwi, — niemożliwe, chyba, żeby... żeby...

— ...Było możliwe! O Władek! pomyśl! On nam napewno pomoże! wywęszy wszędzie Topsego...

— Kto wie... ale kłopotu będziemy z nim mieli... Uch!

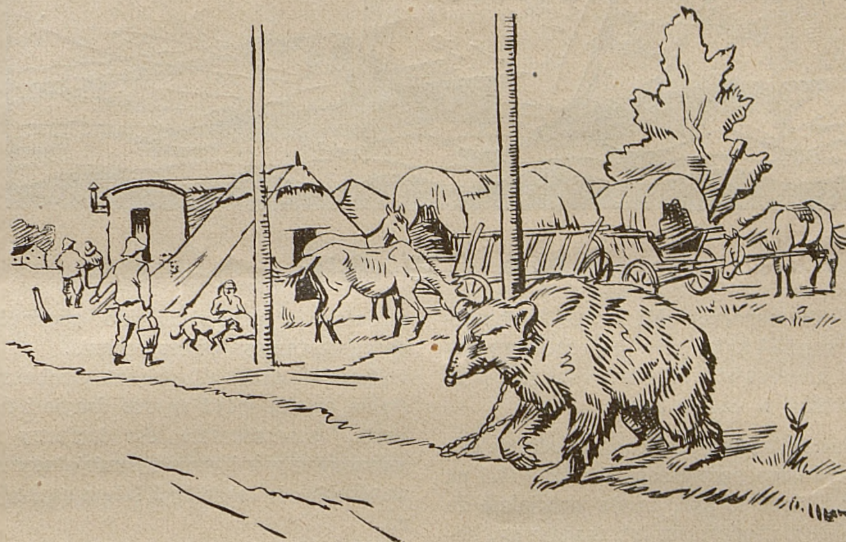
— Lupus! jedziemy wszyscy trzej! — krzyknął Julek. Wilczur skoczył mu na głowę.

Na razie nie było z nim żadnego kłopotu. Szczęśliwy, że jedzie, pies zniósł bez szemrania nawet pomieszczenie w psim wagonie, dokąd Julek biegł odwiedzić go na każdej stacji.

Przyjechawszy do ruchliwego wojewódzkiego miasta, wybiegli z zapałem na ulicę. (Lupusa wzięli uprzednio na pasek, którego właściwem zadaniem było podtrzymywanie Julkowych spodni, — ale ostatecznie, trzymają się i tak, zadecydował ten młodzian). Dość niepraktycznie, jak na harcerzy, chodzili po mieście, rozglądając się na wszystkie strony i pytając ludzi, czy niema tu gdzie cyrku Gloria. Dopiero po kilku godzinach bezowocnej wędrówki przyszło im na myśl, że najlepiej dowiedzieć się w Biurze Ruchu stacji towarowej, czy cyrk nie wyjechał już gdzieindziej. Jakże ta myśl była słuszna! W przeciągu godziny otrzymali szczegółowe informacje. Cyrk Gloria, który przybył tu przed dwoma tygodniami nie wyładował się wcale. Po całodziennym postoju na stacji cały tabor wyruszył do Lublińca.

— Jedźmy do Lublińca! — zdecydowali się chłopcy natychmiast.

Pociąg w tym kierunku odchodził za godzinę, pożywiwszy zatem siebie i Lupusa chłopcy znów znaleźli się w wagonie.



Na tej linji kursowały wozy 4-tej klasy, do której pozwolono im wziąść psa. Siedzieli zatem we trójkę. Chłopcy zajadali czereśnie kupione na stacji, celując daremnie pestkami w słupy telegraficzne, Lupus strzygł uszami ciekawie i machał wesoło ogonem na wspominane raz po raz w rozmowie imię zaginionego przyjaciela.

Mijali śląski okręg przemysłowy i również Władek jak Julek z podziwem patrzyli na gęste lasy kominów, dziwaczną architekturę fabryk, przeźroczyste wież dźwigów, przysadkowate kopuły i dymiące piramidy „wielkich pieców". — Chwilami pociąg przelatywał tak blisko, że mogli zajrzeć omal we wnętrze huty rozdygotane tysiącem młotów, tryskające łuną i skrami. Patrzyli z nabożnym szacunkiem w te kuźnie pracy straszliwej, o której nie śni się rolnikowi lub zwykłemu robotnikowi i w ogniska znoju przechodzącego wszelkie pojęcie i wyobrażenie.

Powoli krajobraz się zmieniał. Drzewa stawały się częstsze od kominów. Zieleń wypierała zwycięsko sczerniałe hałdy i usypiska, na zboczach wzgórzy rozłożyły się lasy. Świetnie barwny bażant siedzący na przykopie o kilkanaście metrów od pociągu, kręcił metalicznie lśniącą szyją, przyglądając się ciekawie wagonom. Julek dowodził, że bezczelny ten ptak pokazał najwyraźniej język Lupusowi. Wychyleni wszyscy trzej przez okno wciągali z rozkoszą rzeźwe przedwieczorne powietrze, radzi, że z grozy okręgu przemysłowego wjechali znów w kraj o czysto rolniczej kulturze.

— Chodźmy do Biura Ruchu, — proponował rozważny zawsze Władek, gdy wysiedli na stacji w Lublińcu. Julek nic nie odpowiedział, wytężając badawczo wzrok przed siebie, nagle pisnął radośnie i nieoczekiwanie.

— Nie potrzebujemy nigdzie chodzić, pytać się, bo cyrk tam stoi, o widzisz?! Hura! już mamy Topsiaczka!

Władek spojrzał we wskazaną stronę. Istotnie na drodze wiodącej do miasta, o jakieś pół kilometra od dworca kolejowego, stały płócienne budy, oraz kilka wozów-domów.

— Widzisz? widzisz — gorączkował się Julek, chodźmy jak najprędzej!

— Chodźmy, ale nie mówmy nic odrazu, trzeba najpierw rozpoznać dobrze sytuację... Idziemy, uważam, jako zwykli chłopcy, sprawdzimy czy Topsy jest i biegniemy zaraz po policję...

— Naturalnie!

Szli szparko, z trudem przytrzymując wyrywającego się naprzód Lupusa.

— Oj, czy to aby cyrk? — zawahał się nagle Władek, przystając.

— Ciekawym, coby mogło być innego?

— Kiedy cyrk ma zawsze jedną wielką okrągłą budę, a tu jest parę niewielkich...

Urwał, bo w tejże chwili Lupus zawarczał, zjeżył się i cofnął gwałtownie pod nogi Julka w honorowej rejteradzie.

Uwiązany do przydrożnego słupa telegraficznego, olbrzymi brunatny Miś, podnosił z groźnym pomrukiem swe cielsko podobne do kupy starej zrudziałej faszyny. Od wyprzężonych wozów biegło już kilkunastu ludzi pstro a zarazem obdarto odzianych.

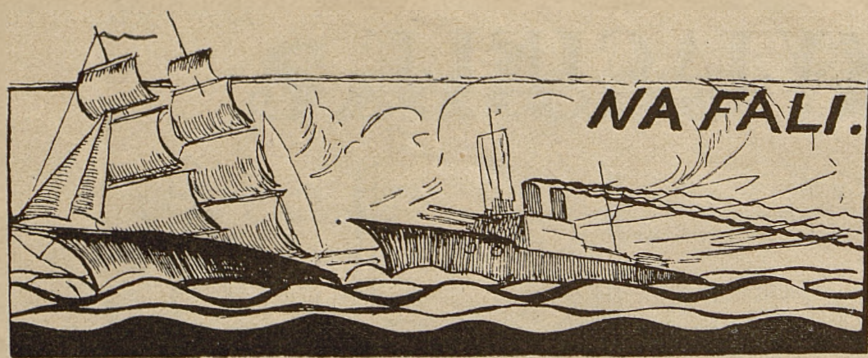
— Ależ to cyganie! — wykrzyknął z rozczarowaniem Władek.

— Prawda, cyganie!.. Wracajmy, niema co tu robić...

Nie zawracali jednak, patrząc z mimowolną ciekawością na ten dziwaczny przeżytek tak rażący i obcy w XX wieku, jakim są ostatni nomadzi europejscy — cyganie. Starożytni „ziszgarri", przybyli przed wiekami z Egiptu czy, zdaniem innych uczonych, z Indji, niewrażliwi na bieg czasu, bezczynni, łupiescy włóczędzy, wędrujący skroś wszystkich granic prymitywnym taborem jak przed pięciuset laty, zachowujący dotychczas bez zmiany odwieczne swe obyczaje, sądy, prawa i wiarę.

Ani się chłopcy spostrzegli, gdy otoczyła ich ciekawa gromada. Rosłe ciemnolice chłopy o zmierzwionych włosach, czarująco piękne dzieci o wielkich czarnych oczach i nagich członkach niby wykutych z miedzi, stare baby, których brzydota przechodziła wszystko co wyobraźnia ludzka przypisuje wiedźmom.

(Ciąg dalszy nastąpi).



NA CZASIE.

W 13 numerze „Na Tropie" obiecałem napisać kilka słów o przechowywaniu i konserwacji taboru wodnego i jego takelunku w czasie zimy.

Już najwyższy czas na znalezienie odpowiedniego pomieszczenia dla łodzi na zimę. Może to być szopa specjalnie do tego celu zbudowana lub magazyny, baraki i t. p. budowle. Na kajaki wystarczy stary wagon kolejowy, skrzynie od samolotów, a w ostateczności strych z dogodnem wejściem.

Schron na łodzie musi je przedewszystkiem zabezpieczyć przed kradzieżą i zniszczeniem.

Dach szopy, służącej do przechowywania łodzi, nie może zaciekać, wszelkiego rodzaju piwnice wilgotne i lochy nie zapewnią łodziom należytej konserwacji.

W pierwszej połowie października należałoby łodzie wyciągnąć już z wody, kończąc w ten sposób sezon żeglarski. Po dokładnem wymyciu i wyczyszczeniu łodzi, należy zdjąć takelunek i przenieść, ewentualnie przewieźć, do poprzednio przygotowanego pomieszczenia.

Łodzie „rasowe" otaczać trzeba specjalną opieką, gdyż są one drogie i delikatne, przeznaczone dla żeglarzy zaawansowanych i przy nieumiejętnem obchodzeniu się mogą być łatwo uszkodzone.

W czasie zimy i wczesnej wiosny nie zawadzi łódź, o której mowa wyżej, co pewien czas przetrzeć miękką pokostowaną ściereczką, oraz przykryć płachtą przed kurzeniem się.

Części metalowe, jak: miecze, okucia, ściągacze, salingi i t. p. drobne przedmioty — nawazelinować i przechować w miejscu wolnem od kurzu. Liny stalowe — wanty i sztagi, jeśli są połączone z masztem splisami, — nawazelinować i przywiązać gremptem do masztu.

Liny konopne po dokładnem wysuszeniu, starannie zaopatrując je szmatkami z napisami, z jakiej pochodzą łodzi i do czego służą (np. grotaszkot, kliverfał, grotfał i t. p.) — schować do worka.

Żagle najlepiej powiesić w suchem pomieszczeniu, jeśli warunki lokalne na to nie pozwalają — dobrze wysuszyć i złożyć do specjalnie poprzednio uszytych worków żaglowych.

W czasie zimy przynajmniej raz na miesiąc należy żagle przejrzeć, a w razie potrzeby przewietrzyć.

Drobne części jak: bloczki, dulki, szakielki i t. p. po nawazelinowaniu złożyć do specjalnego woreczka lub skrzynki, unikając w ten sposób zgubienia.

Z powyższego widać, że sporo będzie pracy z przechowaniem łodzi i ich części na zimę, ale wysiłek ten nie pójdzie na marne.

Wiosła, bosaki, maszty, bomy, gafle, podłogi, ławki i t. p. muszą również znaleźć należyte schronienie z dogodnym dostępem, aby w czasie zimy wykorzystać tą pracę, o jakiej w „Na Tropie" wyczytacie.

Zaznaczyć jeszcze muszę, że łodzie nie mogą być położone bezpośrednio na ziemi. Jeśli brak jest odpowiednich podstawek, można je kłaść na beleczkach lub podwiesić na pasach.

W miejscach, gdzie łódź dotyka z podstawką, beleczką i t. p., podłożyć trzeba stare szmaty, by uniknąć w ten sposób obtarcia burt.

Z łodziami bardziej prostemi o smolonem dnie można mniej „delikatnie" obchodzić się, a nawet pozostawić na zimowanie pod odkrytem niebem. Łódź w tym wypadku należy odwrócić dnem do góry i podłożyć pod nie odpowiednie beleczki. Daszek prowizoryczny nigdy nie zaszkodzi. Takelunek zdjąć i schować według podanych wyżej wskazówek. **W. B.**

---

phm. St. Szymborski.

Szlakiem Dunaju.

Po sześciodniowym pobyciu w Wiedniu opuściliśmy to piękne miasto we wtorek o godzinie 6-ej zrana w okolicy Donau-Keebahnhoff.

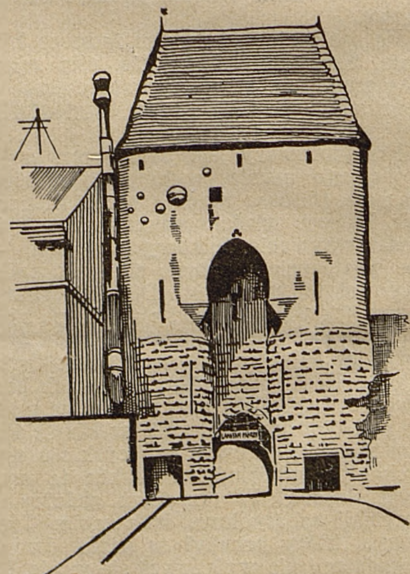
W momencie opuszczenia lądu zapominamy na chwilę wrażenia dopieroco przeżyte, myśl nasza zostaje całkowicie zaabsorbowana zagadnieniem bezpieczeństwa, oglądania rzeczy godnych widzenia i osiągnięcia celu wytkniętego na szlaku.

Tu dodać muszę dla usprawiedliwienia naszego niepokoju, że mieliśmy łodzie o bardzo małem zanurzeniu (4 cm. przy normalnem obciążeniu), kanadyjki z płaskiem dnem, mocno wywrotne, nieprzyzwyczajone do nas jak i my nie byliśmy przyzwyczajeni do nich, bośmy je ledwo zdążyli na wyjazd wykończyć. W początkach wymagało dużego skupienia uwagi, aby ustalić normę wysiłku, wciągnąć się w nowy tryb życia, jednem słowem czuć się w swoim żywiole.

Prąd pod Wiedniem jest szczególnie silny. Niebezpieczeństwo dla łodzi małych przedstawiają tu dość liczne wiry, trudne do wyminięcia.

Odetchnęliśmy z ulgą, zostawiając miasto za sobą. Od tej chwili poczuliśmy niespodziewanie pewność siebie. Zawsze skłonni do wesołości, poczęliśmy się nawzajem krytykować, podnosząc w ten sposób ambicje najsłabszych i już w trzeciej godzinie jazdy zdawałoby nam się, że trzy tygodnie tak jedziemy, gdyby nie nowe wrażenie: statek! Dziwnem powinno się wydawać, że sąsiedztwo statku, które w dalszym ciągu naszej wędrówki było najmilszą i najbardziej pożądaną atrakcją, wywołało w pierwszym momencie niepokój. Trzeba jednak wiedzieć, że siedzący w małej łódce, rozbujanej na fali, ma zgoła odmienne wrażenia sytuacji od patrzącego z brzegu, lub z wysokości pokładu przejeżdżającego statku. Wynika to z różnego w tych wypadkach ograniczenia pola widzenia.

Statki śrubowe, szczególnie ekspresy, kursujące między Wiedniem i Budapesztem, podnoszą za sobą fale dochodzące do 1,5 m. wysokości. W wielkiej ilości wody, jaką toczy Dunaj już w środkowym biegu, fale te są długie i dlatego zachodzi okoliczność, która sprawia silne wrażenie: poprzednik mój, którego miałem kilka metrów przed sobą — ginie mi pod wodą! W chwilę potem znajduję się sam na grzbiecie fali, aby znów zsunąć się w pędzie w dół, stracić brzeg z oczu i to-



Akcja letnia drużyn żeglarskich.

I Drużyna w Chełmży, pod kierunkiem dh. Syrockiego odbyła wycieczkę wędrowną na 2 łodziach żaglowych do Grzywny przez Pluskowęsy, Zalesie, Minkowo, powracając do Chełmży. W wędrówce wzięło udział 8 harcerzy, — przebyto 40 km.

Chełmno. I. Drużyna chełmińska odbyła cały szereg krótszych wędrówek, a jedną dłuższą, w akcji brało udział 8 harcerzy, komendantem wypraw był wywiadowca Leon Grzywaczewski, na 3 łodziach łącznie przebyto 685 km.

Dawidgródek. Zastęp żeglarski „Mew" pływał 10 dni, trzema kajakami i żaglówką do Mańkiewicz — Horyniem. Kierownikiem wędrówki był dh. Kosarew. Przebyto 84 km. — uczestniczyło 9 harcerzy.

Gdańsk. Drużyna żeglarska w Gdańsku lato spędziła w obozie szkolnym na Helu. Obóz trwał 23 dni, przebyto 150 mil morskich, uczestników 9. Ćwiczenia morskie były prowadzone przez podoficerów marynarki wojennej. Komendantem obozu był ćwik Tadeusz Prechitko.

Nakło n/W. I. Drżyna z Nakła przepłynęła 220 km. na 3 łodziach, w wędrówce brało udział 5 harcerzy. Kierownikiem wyprawy był ćwik Malicki.

Niemen. II. Drużyna im. Zawiszy Czarnego, na 8 kajakach w czasie 10 dni odbyła wędrówki Niemnem, przebywając 350 km. Z Waszkiewicz do Grodna przez Mosty, Łunnę, Orlę i z powrotem. Komendantem obozu był dh. Glejzer, wyprawa liczyła 8 harcerzy.

Rzeszów. 3 drużyna w Rzeszowie z powodu niskiego stanu wody na Wisłoku i braku dostatecznych funduszów żadnej wędrówki nie zorganizowała — szkoda.

Tarnów. I. Drużyna w Tarnowie zorganizowała 5 mniejszych wypraw, w których wzięto 19 harcerzy, na 4 łodziach przebyto 239 km.

W. B.

Kronika morska.

W dniach 10 do 13 sierpnia odbywały się w Państwowej Szkole Morskiej w Gdyni **egzaminy wstępne** dla kandydatów, których w br. zgłosiło się 207 na 90 wolnych miejsc. Na wydział nawigacyjny przyjęto 47, na mechaniczny 43 kandydatów.

*

„Dar Pomorza" statek szkolny Szkoły Morskiej w Gdyni, dnia 1 października udaje się w półroczną podróż na Atlantyk.

*

„Żegluga Polska" zamówiła do swych potrzeb dwa nowe statki, które w marcu 1932 r. mają być oddane do użytku i kursować będą pomiędzy Gdynią — Rygą — Lipawą, Tallinem i Helsingforsem.

*

Bibljoteczka żeglarska.

Recenzje.

Któż interesujący się żeglarstwem nie słyszał o samotnej podróży naokoło świata jednego z najdzielniejszych żeglarzy świata Francuza Alaina Gerbault'a. Gerbault — postać niesłychanie ciekawa w naszym zmaterjalizowanym wieku — wytknął sobie za cel „gonić słońce", nietylko w dosłownem, lecz i symbolicznem znaczeniu. Przygotowania jego do podróży tchną ogromnym zapałem. Wkłada dużo troski, by swój jacht uczynić zdolnym do pokonywania burz i uodpornić go na wszelkie niebezpieczeństwa. Uderza nas ta niepomierna odwaga samotnego żeglarza, Odysseusza XX wieku, zaglądającego śmiało w twarz szalejącemu żywiołowi. Podziwiamy wraz z nim nieskażoną jeszcze przez cywilizację czystość i szczerość duszy u mieszkańców zwiedzanych wysp Polinezji, tej najpiękniejszej rasy na ziemi, którzy z naiwną prostotą i szczerością dzielą się wszystkiem z gościem.

Wędrówki wśród wysp koralowych, śpiew i muzyka tubylców, to jedna strona wyprawy, — druga zaś to wysiłek potężny, stałe zmaganie się z żywiołem, burze, cyklony i nieprzespane, pełne pracy noce. Wszystko to zdaje się czytelnikowi jakąś baśnią daleką i nieziszczalną.

Trzy książki, jakie Gerbault w formie pamiętników napisał, przetłómaczone zostały na język polski i są naprawdę niezbędne w bibljoteczkach harcerskich drużyn żeglarskich.

Pierwsza z nich pt. „Sam przez Atlantyk", — wydana przez Bibljotekę Dzieł Wyborowych. Dwie pozostałe „W pogoni za słońcem" i „Na powrotnej drodze" — wydał Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy. Liczne ciekawe ilustracje podnoszą artystyczne walory książki.

W. B.



fot. Apollo.
Kurs wodny nad jeź. Charzykowskiem.

warzyszów. Już po tych kilku godzinach jazdy udzieliła nam się „podświadomość" ruchów. Podświadomie zwracamy łodzie nasze czołem na fale i pilnie przestrzegamy zgodności uderzeń wiosłem. Po chwili znów cisza, znów jesteśmy wszyscy i pracujemy wytrwale, aby coprędzej dobić do Hainburgu, zwiedzić miasto i otrzymać cło zwrotne.

Dunaj tutaj się zwęża, mnóstwo wirów ściąga na siebie naszą uwagę i niepostrzeżenie rozciągamy się na większej przestrzeni. Trzymamy się przeważnie środka, aby nie wpaść na ostre kamienie, któremi brzeg jest usypany.

Spostrzegam przed sobą przystań urzędu celnego, ale jednocześnie orjentuję się, że dwie łodzie, bardziej zaawansowane, minęły już dawno przystań i mkną przed nami w odległości 150 metrów. Podaję sygnał, ale w tej chwili łodzie giną za skrętem.

Pozostałe dwie przybijają do brzegu. Wchodzimy w porozumienie z urzędnikiem austrjackim, bardzo uprzejmym, ale niemniej srogim formalistą. Tłumaczy nam, że pieniędzy nie wyda, póki nie obejrzy wszystkich łodzi. Jest godzina 10.30, słońce silnie dogrzewa, decyduję pozostać tu kilka godzin, chcąc dać do zrozumienia uciekinierom, aby powrócili i jednocześnie zwiedzić okolicę.

Zwiedziwszy Hainburg, udajemy się w górę Dunaju przez Deutsch-Altenburg (miejscowość kuracyjna) do Carnuntum, aby odwiedzić muzeum tamtejsze, ruiny i wykopaliska. Miejscowość Carnuntum była bowiem najbardziej ożywionym ośrodkiem kolonji rzymskiej i miejscem skrzyżowania głównych dróg handlowych z południa na północ i ze wschodu na zachód.

Przewodnik ciekawego, bogatego muzeum umiał mówić po polsku, oprowadzał nas starannie i ofiarowanego wynagrodzenia nie chciał przyjąć. Zwiedzamy też amfiteatr w pobliżu i wracamy do Hainburga. Tu sytuacja jak przedtem. Urzędnik celny idzie nam na ustępstwo, zapisuje nasze łodzie i pozwala nam jechać, z tem jednak, że pieniądze wręczy po obejrzeniu łodzi pozostałych.

Sprawców nieporozumienia zastaliśmy po godzinie jazdy swobodnie wypoczywających na brzegu. I oni również zapóźno zorjentowali się, dopiero sygnał uświadomił ich w sytuacji. Próbowali przybić do brzegu i holować łodzie, bo jazda pod prąd była niemożliwa, tymczasem samo przybicie było mocno ryzykowne ze względu na płócienną powierzchnię naszych łodzi, holowanie już zgoła nie do wykonania. Decydujemy odesłać łodzie statkiem z Bratislawy. Płyniemy więc znów razem, zdobywając w tych paru godzinach szereg doświadczeń na przyszłość.

Dunaj w tem miejscu jest granicą Czechosłowacji i Węgier. Na całym tym odcinku (do m. Szap) postanawiamy trzymać się lewego brzegu, aby zasmakować gościnności czeskiej. W odległości 5 km. za Hainburgiem, tuż za skrętem uderza nas piękny widok. Oto ujęte ramionami Dunaju i Morawy (March), oddającej w tem miejscu Dunajowi swe wody, wznosi się potężne wzgórze ze stromo do wody spadającem zboczem, a na jego szczycie ruiny zamku dawnych „Raubritterów". Widok ten oblany światłem popołudniowego słońca, odbijał się w spokojnym tu Dunaju, powiększając znacznie wrażenie rozmiarów.

Jazda w dalszym ciągu staje się wielce urozmaicona: lewy wyniosły brzeg jest w świetnym kontraście z prawym, nizinnym, mnóstwo ptactwa wodnego ożywia nasz szlak. Niebawem pokazują się wiry zdradliwe i wypada nam się znów pilnować.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Na Tropie Zuchów.

Serso.

Zuch musi być zwinnym chłopcem. Ażeby zostać zwinnym — trzeba się ćwiczyć w zwinności i mieć zwinne ręce, zwinne nogi i zwinne oczy.

Jedno z ćwiczeń zwinności nazywa się „serso“. Właściwie serso jest to kółko z wikliny o średnicy około 25 cm. Kółko takie można zrobić samemu, a jeżeli niema pod ręką wikliny, to dobre będzie z jałowca. Zbić je można małemi gwoździkami, albo związać cienkiem sznureczkiem — jak komu wygodniej. Prawdziwy „majster klepka“ może go nawet skleić klejem stolarskim.

Oprócz kółka potrzebny jest mieczyk. Jest to cienki, lekki i prosty kijek drewniany, którego długość powinna być taka mniejwięcej, jak noga ćwiczącego od biodra do ziemi. Przy grubszym końcu kijka przybić trzeba gwoździkiem poprzeczkę, żeby wyglądało to jak krzyżyk, albo jelce u miecza.

Każdy z ćwiczących ma swoje kółko i swój mieczyk. Ćwiczenie polega na rzucaniu i łapaniu mieczykiem kółka. Kółko trzyma się w lewem ręku, mieczyk w prawem i ostrzem mieczyka wyrzuca się serso w górę i w przód. Przeciwnik łapie rzucone kółeczko na swój mieczyk. A robi to bez obawy uderzenia kółkiem w rękę, gdyż poprzeczka mieczyka zawsze je zatrzyma.

Żeby dobrze kółko rzucić, trzeba się porządnie wyćwiczyć i dobrze naumieć. Musi ono pruć powietrze równiutko, jak aeroplan pasażerski, nie koziołkować i lecieć poziomo, jakby równolegle do ziemi. Jak się zaczniecie ćwiczyć, to wymyślajcie sobie różne trudności: a) rzucajcie na wysokość, b) rzucajcie na odległość, c) nauczcie się rzucać i łapać lewą ręką tak samo dobrze, jak prawą, d) jeżeli Was jest dużo — szóstka, kilka szóstek, albo gromada — to zróbcie olbrzymie koło, każdy niech trzyma swoje serso i na gwizdek niech każdy rzuca w lewo swojemu sąsiadowi, zobaczycie, jakie śmieszne i ciekawe z tego wyjdą rzeczy, e) albo stańcie w dwu szeregach i urządźcie sobie sztafetę, tak jak to się robi z piłką, f) dwie partje mogą rzucać do siebie klęcząc, g) nigdy nie próbowałem rzucać leżąc, ale może Wy wypróbujecie, czy to da się zrobić, h) może też jeden rzucać kółko całej gromadzie i ten, kto je złapie, będzie zwycięzcą.

Dużo różnych urozmaiceń można robić z sersem. Ćwiczenie to doskonale wyrabia ręce, oczy i nerwy i dlatego jest prawdziwie zuchowem. Nawet na popisach można z niem występować — tylko wtedy mieczyki muszą być bardzo ładnie pomalowane, a do kółka trzeba przylepić kilka fruwających wstążek.

Znałem jednego wodza gromady, który łapał kółka na głowę i zupełnie nie bał się tego robić, zdaje się tylko, że jego kółko było większe, o średnicy 30 centymetrów.

A w pewnej gromadzie ćwiczono się w ten sposób, że rzucano kółka na pal. Było to bardzo trudne i udawało się tylko najzwinniejszym zuchom.

Znałem dwuch strasznie chytrych chłopców. Ci rzucali i łapali kółko w biegu. A znów innych... Dosyć. Mógłbym Wam długo opowiadać o różnych ćwiczeniach w serso, ale myślę, że jak zaprowadzicie je u siebie w gromadzie — to wymyślicie tych odmian jeszcze więcej ode mnie. Powiem Wam tylko jedno: sportowiec nie obejdzie się bez dyska i oszczepu, a zuch nijak nie może obejść się bez serso.



Prawo Zuchów.

1. Zuch słucha starszych.
2. Zuch nie ulega samemu sobie.

Obietnica Zuchów.

Obiecuję uczynić wszystko, co tylko będę mógł, aby służyć Bogu i Ojczyźnie, wypełniać prawo gromady zuchów, codzień wyświadczać komuś przyjacielską usługę.

Dwie gry lanką.

Lanka — mała, ciężka piłeczka — jest dla zuchów najpotrzebniejszą rzeczą. Wszystkie lanki mają jedno fatalne przyzwyczajenie: strasznie się gubią i dlatego trzeba ich dobrze pilnować; a oprócz przyzwyczajenia mają też lanki pewną cechę: wywołują strach u tchórzliwych chłopców. Wiadomo, że dostać lanką w skórę nie jest przyjemnie, bo miejsce to bardzo piecze i boli, ale właśnie dlatego prawdziwy zuch powinien pogardliwie patrzeć na lecącą lankę i tylko krzywić od czasu do czasu usta na znak, że się jej zupełnie nie boi. A swoją drogą nikt nie powinien zbyt silnie kuć lanką kolegów.

1. Parzak. W parzaka grać trzeba przy ścianie, najlepiej na podwórzu koło takiego muru, gdzie niema okien. Jeden stoi bliżej ściany, a wszyscy dalej. Ten jeden wali piłką wysoko w ścianę, żeby jaknajdalej odbiła się. Każdy z graczy stara się piłkę złapać, bo kto złapie, ten ma prawo kuć rzucającego. Piłkę można łapać dwoma rękoma, prawą ręką, albo lewą ręką. Kto złapie piłkę dwoma rękoma — kuje rzucającego jeden raz; kto złapie prawą ręką — kuje dwa razy; lewą ręką — trzy razy. A jeżeli łapie tak niezręcznie, że piłka tylko mu się otrze o ręce i upadnie na ziemię, wtedy ten niefortunny gracz sam idzie do muru, by rzucać piłkę. Kucie ma swoje prawidła: trzeba celować tylko w nogi, albo w środek ciała, bo gdy kto trafi w głowę, to sam idzie pod ścianę. Zuch, którego kują, musi stać bokiem do ściany, żeby było jaknajmniej miejsca do trafienia; niedorajda przymknie oczy i będzie czekał aż go piłka trafi, a spryciarz tak się będzie wyginał i kręcił, żeby go piłka w żaden sposób nie skuła. Zmiana gracza następuje jedynie w wypadku skucia, to jest przy niefortunnem łapaniu piłki.

2. Piłka do dołka. W środku placyku wykopać trzeba dołek i w dołek ten położyć lankę. W grze tej koniecznie musi być sędzia i to sędzia niebylejaki, bo piśmienny. Musi on mieć notes i ołówek. Każdy z graczy wybierze sobie jakąś narodowość, a sędzia ją zapisze: jeden naprzykład będzie Tatarem, drugi Niemcem, inny Cyganem, a inny Anglikiem.

Grający otaczają dołek, w którym leży lanka. Ręce trzymają w pogotowiu, aby w każdej chwili można było chwycić piłkę, a sędzia śpiewać zaczyna donośnym głosem: „piłka do dołka na poprawę, na poprawkę... Cygan!!“ Jak sędzia krzyknął: „Cygan“, to wszyscy — prysk — i w nogi, a Cygan prędko chwyta piłkę i wali tego, który jest najbliżej. Jeżeli trafił — wszystko dobrze; jeśli nie — sędzia pisze Cyganowi minus i znów sędzia śpiewa: „Piłka do dołka na poprawkę, na poprawkę.... Polak!!“ Teraz Polak chwyta piłkę i wali któregoś z uciekających.

I tak trwa gra. Jeżeli sędzia zobaczy, że któryś z graczów ma już trzy kreski (przypuśćmy, że to Tasmańczyk), to wtedy niepostrzeżenie, śpiewając: „Piłka do dołka, na poprawkę...“ krzyknie: „Czapkowanie Tasmańczykowi!“ Tasmańczyk w nogi, a wszyscy za nim, starając się go wytłuc czapkami, albo lekko rękoma. Gdy sędzia gwiźnie, wszyscy wracają, a Tasmańczyk wychodzi z gry. Wygrywają ci, którzy najdłużej unikną trzech kresek.

Praca krajoznawcza w okresie zimowym.

Błędnem jest mniemanie, że praca krajoznawcza polega jedynie na chodzeniu na wycieczki, na przechodzeniu jak największej ilości kilometrów i na pobieżnem przyglądaniu się okolicy. — Trzeba sobie uświadomić, że celem krajoznawstwa jest d o b r e poznawanie kraju ojczystego, jego wszystkich zakątków, a tam — spisywanie zwyczajów, wierzeń i obrzędów ludowych, dokładne opisywanie budownictwa wiejskiego, chat, zagród ze wszystkiemi zabudowaniami na wsi, zbieranie nazw, które lud daje okolicznym wzgórzom, osiedlom, rzekom, strumieniom, drogom, polom itp., badanie sposobów i warunków życia ludu, zapoznawanie się z poziomem jego wiedzy naukowej itp.; wszystko to jest pracą dla nauki, pracą, wymagającą wielkiego nakładu sił i energji, a nieraz nawet poświęcenia. — Nie można jednak zapomnieć, że praca ta daje wzamian każdemu zadowolenie wewnętrzne i radość, że przyczynia się do większego rozwoju i wzrostu nauki polskiej.

To też krajoznawcy, którzy się oddali swojej idei, idą w świat z hasłem: **„poznaj swój kraj — ojczyźnie służ"** pełni wiary, że nie pójdą na marne ich trudy, ale zdobycze ich będą miały trwałe znaczenie.

Młodzież, mieszkająca w wielkich miastach, pracy tej może się oddawać prawie jedynie w czasie wakacyj. Ale inni, mieszkający w miasteczkach i częściej stykający się z ludem wiejskim mają więcej sposobności, by pracować krajoznawczo. Mają oni możność pracy i w zimie, kiedy ludzie na wsi mają bardzo dużo czasu i chętnie, zwłaszcza starzy ludzie, każdemu opowiadać będą o dawnych czasach.

Więc ci, których interesują dawne zwyczaje, wierzenia, czasy itp. mogą bez wielkich trudności dowiadywać się o tem wszystkiem, zwłaszcza wieczorami w chatach na wsi. A ci, których interesuje n. p. tylko zdobnictwo i strój, mogą również w tym zimowym okresie odrysowywać motywy zdobnicze ze skrzyń i łóżek, stroje, dowiedzieć się, kto to robił i w jaki sposób itd. — Znowuż ci, którzy interesują się warunkami gospodarczemi, mogą dowiadywać się, czy w danej wsi jest jakiś przemysł ludowy prowadzony, co się wyrabia, z czego i kto się tem zajmuje?; można się też pytać, co obecnie zwykle jedzą na wsi, a co dawniej przyrządzali, czego już może teraz nie robią?

Każda, choćby najmniejsza wiadomość o czemś, co było, a niema, jest ważną bardzo dla nauki etnografji. To też prosi się o to, by wszelkie wiadomości krajoznawcze, z jakichkolwiek zakresów przesyłać do Komisji Kół Krajoznawczych Młodzieży Szkolnej w Krakowie(ul. Krowoderska 74), aby je można było jaknajlepiej zużytkować, aby nie marnowały się te prace po domach prywatnych, ale by każdy badacz naukowy miał możność z niemi się zapoznać i korzystać z tych materjałów dla dalszego rozwoju i postępu nauki polskiej.

Jaskółki podróżują samolotem

Z powodu niebywałego zimna, jakie zapanowało już we wrześniu, jaskółki nie zdołały na czas odlecieć do ciepłych krajów. Osłabione zimnem opadały masowo w pobliżu Wiednia, nie mogąc kontynuować dalej swej corocznej wędrówki. Zajęło się niemi wiedeńskie Towarzystwo Ochrony Zwierząt, zorganizowało w okolicach Wiednia zbierania omdlałych jaskółek i samolotami odesłało ich około 100 tys. do Włoch, gdzie po tej niezwykłej dla świata zwierzęcego podróży, jaskółki otrzymały z powrotem wolność.

Badanie wędrówek ptaków.

Przy Państwowem Muzeum Zoologicznem w Warszawie istnieje Stacja Badania Wędrówek Ptaków. Stacja ta oznaczyła pewną ilość ptaków, żyjących na wolności, aluminjowemi obrączkami. Stacja zwraca się do wszystkich, którzy znajdą ptaka opatrzonego podobną obrączką, z prośbą, by obrączkę odesłali do Stacji wraz z adresem i nazwiskiem wysyłającego, oraz wskazówkami co do miejsca, gdzie ptaka znaleziono. Pożądane jest także odesłanie całego ptaka.

„Skaut".

(W dwudziestą rocznicę pierwszego w Polsce pisma skautowego.)

Rok 1913



„Skaut"

W dniu 15 października 1911 r. ukazał się 1-szy numer „Skauta" — pierwszego w Polsce czasopisma harcerskiego. Stało się ono wkrótce zarzewiem, od którego zapałały się w całej Polsce ogniska pracy harcerskiej. — Młodzieńczym zapałem tchnący z każdej kartki pierwszych roczników „Skauta" duch, budził do życia coraz to nowe harcerskie zastępy, wytyczał im drogę, krzepił i umacniał.

20 lat temu Redakcja „Skauta" pisała:

„Puszczamy w świat pismo n o w e. Do pracy nad młodzieżą polską, do wielu usiłowań narodowych, których celem w myśl zasady sokolej: „w zdrowem ciele — zdrowy duch" jest rozwój fizyczny i moralny, dziś i my chcemy się przyłączyć. Stajemy do szeregu z wiarą, że praca ta wyprowadzi pokolenie młodzieży polskiej, dzielnej pod każdym względem, ofiarnej dla narodowej sprawy, młodzieży o czystych sercach i silnych dłoniach. Harcerzami chcemy ją zrobić nowoczesnymi, krzewicielami światła i postępu o polskie tradycje opartego, tęgimi pracownikami na polskiej niwie, takimi, którzyby do pracy rozumnej byli zdolni i nauczyli się szanować ją za młodu.

A do pracy nam, Polakom, wziąść się trzeba. Gdziekolwiek okiem rzucić, ileż spostrzegamy pełnych pasorzytnych ciernii ugorów, ileż ciemnoty i zaniedbań. Naród, który nad innemi górował potęgą i niósł postronnym światło, po klęskach dziejowych nie otrząsł się jeszcze cały z niemocy, pracą usilną nie naprawił popełnionych błędów, nie upomniał się jeszcze o swoje miejsce w Europie...

... Jest jednak droga do odrodzenia i coraz więcej pracowników nią dąży. My z nimi i pociągnąć chcemy za sobą młodzież — narodu latorośl i przyszłość — nadzieję...."

Słowa te, tak piękne w swej głębokiej trosce o odrodzenie narodowe, przetrwały zawieruchę wojenną i okres odbudowywania Polski Niepodległej, nie tracąc na swej aktualności. Czytając je dziś, z całem przekonaniem powtarzamy, że: „Jaką wyrośnie młodzież polska, jaką ona mieć będzie wolę i wytrwałość, jakiemi będzie odznaczać się przymiotami i jak będzie umiała pracować — taką będzie narodu przyszłość".

Obyśmy stali się godnymi swych poprzedników w czyn wcielając owe hasła, które oni na harcerskich wypisali sztandarach!

W dzień jubileuszowy „Na Tropie" składa Redakcji „Skauta" serdeczne życzenia powodzenia w dalszej pracy.

Ankieta Polskiego Związku Związków Sportowych.

Dzięki inicjatywie Polskiego Związku Związków Sportowych między wszystkimi sportowcami została rozpisana wielka ankieta, z której wyjmujemy kilka ciekawszych odpowiedzi. Wykazują one, że właściwości dodatnie odżywiania cukrem i zawierającemi go produktami, spowodowane są tem, że **cukier ma dziesięć cech dodatnich:**

1) daje dużo energji,
2) daje dużo ciepła,
3) gasi pragnienie,
4) łatwo się trawi,
5) szybko działa,
6) nie potrzebuje przyrządzania,
7) nie zajmuje wiele miejsca,
8) mało waży,
9) jest stosunkowo tani.
10) jest smaczny.

To też cukier staje się dziś nieodzownem pożywieniem każdego trenującego sportowca.

Posłuchajmy odpowiedzi ankiety:

W ślady Olimpijczyka Williamsa.

„Miałem lat 16, wysokie ambicje i może iskierkę talentu sportowego. Entuzjazmowałem się sukcesem Konopackiej na Olimpjadzie, a szczerze bolałem nad niepowodzeniami polskich lekkoatletów. „Za mało jedzą cukru" zadecydowałem... i począłem z całą młodzieńczą nierozwagą łykać całe masy słodyczy, ciągle mając na uwadze słowa Williamsa, dwukrotnego mistrza Olimpijskiego, że cukier stanowi jego główne pożywienie i że dzięki niemu wkroczył na najwyższy w hierarchji sportowej szczebel. Moje zamiłowanie do słodyczy wywoływało u kolegów uśmiechy i docinki w rodzaju: „Dzieciuch, mlaskać mu się chce". Ale to mlaskanie wyszło mi na dobre. Już po kilku tygodniach zauważyłem przyrost wagi i polepszenie samopoczucia, a na zakończenie roku szkolnego zasłużyłem na taką uwagę lekarza w „Teście zdrowia": „Rozwija się lepiej, niż normalnie". Oczywiście było to dla mnie bodźcem do dalszego kroczenia po raz obranej drodze. Wyeliminowałem z codziennego użytku tytoń, którego miejsce zajął do dziś nieodłączny cukier.

W tym roku skończyłem szkołę średnią. Nie mogę więc jeszcze mówić o karjerze sportowej. Mimo to mogę zanotować takie wyniki, jak skok wzwyż 172 cm, i rzut oszczepem 48 m., pomijając mniej wartościowe wyczyny. Za rok 1929 otrzymałem „Medal Złoty" Kuratorjum Okr. Szk. Pomorskiego za sprawność cielesną.

Co powodowało, że prawie przez cały rok zachowywałem dobrą kondycję fizyczną? Oczywiście cukier. To kilo jego, które spożywam tygodniowo, stanowi conditio sine qua non mojej wytrzymałości fizycznej. Zauważyłem to specjalnie w czasie przed maturą, gdy zwiększony wysiłek umysłowy trzeba było połączyć z ćwiczeniami fizycznemi. Byłem przekonany, że dzięki temu ciągłemu ślęczeniu nad książką, często dopóźna w noc, będę zmuszony porzucić sport przez ten rok. Jakże się jednak uradowałem, gdy po kilkakrotnym treningu czułem się na boisku, jak za najlepszych czasów. Jedzenie cukru uważam poprostu za konieczność, o ile się nie chce nadwerężyć funkcji jakiegokolwiek organu przy większym wysiłku i o ile się chce faktycznie zachować zdrowe ciało, aby w niem mógł mieszkać zdrowy duch".

Przydała się chemja...

„Raz gdy po „rzetelnej" jeździe na ślizgawce przywlokłem się do domu dosłownie „bez nóg", lecz mimo to zmusiłem się do odrobienia lekcji chemji — zostało mi z lekcji jedno zdanie, że spożyty cukier wytwarza w organizmie ludzkim ciepło i energję. Na następny dzień przed ślizgawką spożyłem sporą ilość cukru i konfitur i w rezultacie po tak samo forsownym wysiłku czułem się zupełnie rzeźko.

Odtąd nie zadawalałem się spożyciem paru kostek w kawie lub herbacie, lecz potroiłem tę ilość, a przed i po wysiłku zużywam cukier specjalnie. Dzięki temu, choć mam nieszczególną budowę ciała, szósty rok staję do regat wioślarskich w czwórce jako szlakowy, potrafię kilka godzin bez odpoczynku grać w tennisa czy też wykonać inny znaczny wysiłek i czuć się rzeźkim i zdrowym. Osiągnąłem to, iż wyczyn nie nadwyręża mego zdrowia, lecz przyczynia się do rozwoju sprawności fizycznej".

Słodka niespodzianka.

„Znając moje łakomstwo, przysyłano mi do podchorążówki z domu paczki ze słodyczami i cukrem. Pewnej soboty, otrzymawszy taką paczkę, energicznie wziąłem się do roboty i w ciągu paru godzin z jej zawartości nie pozostało śladu. Nazajutrz przypadał ciężki marsz. Naogół uchodziłem zwykle za zupełnie przeciętnego piechura, któremu nigdy nie wystarczyło „gazu", by wytrzymać tempo do końca. Jakie więc było zdziwienie przełożonych i kolegów, kiedy tym razem, wysunąwszy się na pierwsze miejsce, zdołałem utrzymać je do końca marszu. Trudno to zbadać, ale osobiście mam to przeświadczenie, że tylko spożyciu w przeddzień marszu bardzo wielkiej ilości cukrów, zawdzięczam fakt, że po przejściu kilkunastu pierwszych kilometrów nie załamałem się tak, jak zwykle i znalazłem w sobie dość sił, by utrzymać zwycięstwo".

Stwierdzono też, że zagranicą spożywa się dużo cukru. Jeden z podróżników opowiada:

„Duńczycy są narodem, który spożywa największą ilość cukru. W Kopenhadze chleb razowy bywa smarowany grubą warstwą masła, a na to przychodzi jeszcze grubsza warstwa cukru. Mało tego. Nietylko chleb z masłem posypuje się cukrem, ale również posmarowany smalcem. Widząc to u wszystkich kolegów, uważałem to za rzecz naturalną. Nie zastanawiałem się w tych czasach nad zagadnieniem o znaczeniu cukru."

„Nurmi, największy biegacz świata, zawsze przed zawodami pije herbatę z cytryną i wieloma łyżeczkami cukru. Mistrz twierdzi, że poza wspaniałym wpływem na mięśnie cukier zapewnia normalną czynność serca i płuc podczas trudnych biegów długodystansowych. Podczas Igrzysk Olimpijskich w Paryżu, w czasie szalonego upału, najmniej spodziewano się w biegu naprzełaj zwycięstwa syna Północy. Nurmi jednak w specjalnie dla niego ciężkich warunkach zwyciężył. Zwycięstwo przyniósł mu cukier, który najlepiej uodpornia organizm przeciw wpływom atmosferycznym.

Niepodobna również wytłumaczy sobie inaczej odporności i wydajności pracy kolorowych robotników na plantacjach, jak tylko spożywaniem dużej ilości trzciny cukrowej. Jak tylko jej zbrakło — nie mogli oni oprzeć się rażącym promieniom słonecznym", (C. d. n.)

Prenumerata „Na Tropie": z przesyłką pocztową rocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1,80 zł., miesięcznie 80 gr. Cena numeru 8-stronnicowego 30 groszy, numeru 16-stronnicowego 50 groszy. Należytość za prenumeratę należy uiszczać z góry. W braku pisemnego zawiadomienia prenumerata obowiązuje nadal. W sprawie ogłoszeń należy zwracać się do Administracji. **Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Szafranka „Domek Harcerski". Konto w P. K. O. Katowice Nr. 305 330.**

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.
Odbito w Drukarni Śląskiej Sp. z o. o., Katowice, narożnik ul. Batorego 2 i ul. Kościuszki nr. 15.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.